Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 24. POZNAŃ, DNIA 13. CZERWCA. 1842.

Literatura zagraniczna.

Le compagnon du tour de France par George Sand.

(Ciąg dalszy.)

Hrabia lubi te, jak je nazywał, wybuchy wyobraźni nieokrzesanego młodzieńca, słuchał ich z pobłażaniem, z zadziwieniem, czasem z rozrzewnieniem nawet. Huguenin czuł dobrze, że przyjaźń Hrabiego dla niego była tylko względnością pana, zniżającego się do człowieka klassy niższéj; i dla tego właśnie tém dumniéj brał się względem niego. Dla tego żadna grzeczność tegoż, żadne się do niego zbliżenie, nie mogło zniżyć młodzieńca czującego swą godność — godność człowieka ludu, która, że jest wyższą od godności hrabiowskiéj, wiedział. Na wszystkie pochlebne grzeczności, chcące go nad stan jego wynieść, na wszystkie grzeczności hrabiowskich przyjaciół, z szlachetną odpowiadał dumą. „Pocóż," mówił, „wynosić mnie chcecie nad pospólstwo, czczemi pochwałami? Jeżeli mnie tém myślicie uczcić, mylicie się! Ja wiem i nie chcę nigdy zapomnieć, że ostatni z żebraków jest mnie równym, jest moim bratem, i nie wstydzę się za niego, jak wielu z pomiędzy nas, których zaraziliście waszą próżnością i zwyczajami waszemi. Ja wiem, że ta hołota, którą depcecie nogami; ci nędzarze, którymi pogardzacie, są mymi braćmi, a nędza ich rumienić mi się każe z szczupłego mienia, które posiadam. Na darmo chcecie między mną a nimi czynić różnicę; nie masz dwóch ludów, tylko jeden. Ten, który pracuje w domach waszych, z uśmiechem na twarzy, spokojny i dobrze ubrany, jest tém samém ludem, co ryczy u wrót waszych, zachmurzony, zagniewany, a odziany łachmanem. Jedyna różnica jest ta, że owym daliście robotę, dla ostatnich jéj nie stało; owym dano wychowanie, tych wyrzucono na ulicę. Ale okryjcie ich ciała, zaradźcie ich nędzy, a przekonacie się, że ta zgraja, tak przez was nazwana, równie jak wy, wyszła z wnętrzności Boga."

O ile Huguenin pojmował stanowisko swoje naprzeciw Hrabiemu, o tyle nie pojmowała go wnuczka Hrabiego. Słysząc zawsze tylko wolnomyślne słowa z ust dziada, miała go za najwolnomyślniejszego z ludzi, i względność jego dla Piotra, brała za prawdziwy szacunek. A szanując sama bardzo młodzieńca, w zbliżeniu się do niego coraz więcéj przyjacielskiem, nie uważała nic przeciwnego zasadom dziada.

Ze zbliżenia się wnuczki Hrabiego z Piotrem wyprowadza autor drugi romans, oparty na zobopólnym szacunku dla siebie stron obudwóch. Zapatrując się na ten romans z szerokiego stanowiska sprawiedliwości naturalnéj i filozofii rozumowéj, nie było zapewne nic moralniejszego i wznioślejszego; zapatrując się na niego przy połysku bladawém ciasnego obrębu zwyczajów i konwenansów socyalnych, było to coś oburzającego, niecnego.

Obadwa te romanse, stósownie do charakteru osób, grających w nich rolę, każdy inną poszedłszy drogą, rozwijają się każdy inaczéj. Markiza Fresnejs, kiedy stósunek jéj z rzeźbiarzem doszedł w największéj tajemnicy do tego stopnia, że tylko można go zerwać gwałtownie, albo zakończyć małżeństwem, ochłonęła z miłości, a próżność Markizy odezwała się znowu głośno w jéj sercu. Najgorętszém jéj życzeniem zerwać stósunek uciążliwy dla niéj, lecz nie umie sobie poradzić. W tém nocy jednéj niespodzianie Hrabia odkrywa tajemnicę całą jéj miłości. Zręczny i przebiegły, znając próżność kuzyny, odgadł zaraz, jaką drogą dójdzie najprędzéj do celu, to jest do rozerwania stósunku, który hrabiowskiemu domowi czynił krzywdę. Najmniejszego nie czyniąc hałasu, udaje się on

dla tego spokojnie dnia drugiego do Markizy, i oświadczywszy, że zna jéj tajemnicę, tak daléj mówi:

„Za moich czasów były Markizy, które lokajów *en secret* brały za kochanków. W ogóle były to kobiety mniéj ładne i mniéj szukane, co łatwo da wytłumaczyć tę ich fantazyą. Ale zwyczaje Ludwika XV., godziwe w swoim czasie, już dziś nie są praktykalne. Żadna wielka dama nie mogłaby dziś już powiedzieć za dnia poddanemu, w którego leżała objęciach wnocy: idź sobie precz, już cię nie potrzebuję! bo dziś już nie masz poddanych właściwie. Stangret jest człowiekiem, artysta jest artystą, chłop jest posiedzicielem, obywatelem; a żadna kobieta, choćby królowa, nie ma prawa, ni mocy, przekonania człowieka, by został jéj poddanym, kiedy wypuszcza go z swych objęć. Ztąd wypada, że musisz się Pani połączyć z rzeźbiarzem."

(Dokończenie nastąpi w No. 26.)

Ueber den gegenwärtigen Zustand der böhmischen Literatur, und ihre Bedeutung, von Leo, Grafen von Thun. Prag 1842. 91 S. 8°.

Przez *prof. Purkiniego.*

(Ciąg dalszy.)

Tak myśli i działa Pan Thun; utrzymuje on słusznie w swém piśmie, że w przedsięwzięciu takiém w środku drogi ustawać nie trzeba, że język narodu i tak nazwana wyższa klassa przyswoić sobie powinna. „Uśmiechacie się," mówi do swych towarzyszy, „uśmiechacie się, gdy kto do was po niemiecku przemawia, przekręcając formę każdego wyrazu, lub gdy do was pisząc, w każdym wierszu robi błąd ortograficzny i uważacie to za brak wykształcenia. I to słusznie. Należy bowiem do wykształcenia, dążyć w tém, co działamy, do pewnéj doskonałości, w wyrażeniu szczególniéj myśli naszych, nie przestawać na tém, aby być tylko zrozumianym, lecz starać się o nadanie im formy loicznéj. — Dla czegoż jednak końcowki wyrazów czeskich są dla was zupełnie obojętnemi? Dla czego was nie razi używanie wyrazów z całkiem przewrotnemi zakończeniami? dla czego nie macie najmniejszego wyobrażenia o pełnych znaczenia odmianach słów czeskich? dla czego w każdém zdaniu błędy popełniacie, których lud unika troskliwie? — Czyliż dla tego, że i tak on błędną mowę zrozumie? Wszakże zupełnie podobnie rzecz się ma w niemieckim. Lecz wy może sądzicie, że lud, z którym to jedynie mówicie po czesku, nie spostrzega tego? — Mylicie się bardzo! Dla błędów takich traci on ku wam poufałość, bo lekceważenie języka narodowego, wypływające li z niewiadomości waszéj, nie uchodzi jego uwadze i obraża uczucie jego, które przeciwnie zjednać sobie powinniście." — Do tych zaś, którzy starają się dobrodusznie zniemczyć lud, na str. 50téj tak się odzywa: „Przyznacie sami, że wiele jeszcze minąćby musiało wieków, nimby w miejscach, gdzie dziś mowa czeska panuje, niemiecka panującą się stała. I wy chcecie tak długo być obcymi ludowi? — Opierać się postępowi literatury czeskiéj, aby zniemczyć Czechy, jest tém samém, co czynić ofiarę z rozwoju duchowego żyjących plemion, dla mniemanego dobra przyszłych pokoleń. Obowiązkiem jest każdego, zastanawiać się nad skutkami, któreby kiedyś z czynów jego wyniknąć mogły; szczególniéj w rozwiązaniu kwestyi, tyczącéj się dobra lub niedoli ludów, wymaga postępowanie nasze, ściągające się na przyszłe pokolenia, największéj rozwagi. — Pamiętać jednak powinniśmy, jak nie pewne wnioski nasze o przyszłości bydź mogą. Kosmopolityzmem szalonego, lub występną zarozumiałością, nazwaćby można, jeśli kto dla dobra potomności, podług swego widzimisię i urojenia swéj mozgownicy, nie zważając na uwagi innych, z uszczérbkiem nawet spółbraci postępuje. W chrześciańskiéj pokorze ufni w opatrzność boską, uważać powinniśmy za święty nasz obowiązek, rozszérzać światło między spółczesnymi, używając wszelkich do tego środków, uszlachetniać ich umysły, w tém przekonaniu, że przez to tylko ustalimy prawdziwe przyszłych pokoleń szczęście. Cokolwiek usiłowanie nasze dla dobra ludzkości wstrzymuje, to za zdrożne uważać powinniśmy." Ulotne te wyrazy w krótkim przeciągu czasu, od chwili gdy wyrzeczone zostały, nie mały już wywarły wpływ, lecz więcéj daleko zdziałać powinny: gdyż przenikają rzecz żywcem. Wyrzeczone są bowiem do serc ojców narodu, którzy dawnego pięknego stósunku patryarchalnego, dążącego dziś tylko do ideału, nie zaprą się nigdy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura sławiańska.

POEZYA.

POLÁK. *)

Z pisma czasowego Hronka.

*) Poezya ta wyjęta jest z czasopisma słowiańskiego: Hronka, wydawanego przez Kuzmanego w Bystrzycy, w Ta-

trach. Pisarzem jéj jest Sabinski. Jest za nadto śliczna, a szczególnie Polaka dobrze przedstawiająca. Przesyłam Wam ją, ażebyście ją w Tygodniku umieścili.

Stránj spustliwau Sibírskau
Smutný Polák se probjrá,
A swé oči zaslzené
K slunci mraucjmu upjrá,
Ježce w pauta okowaný
Želj, že smrt ho minula,
A za pluhem slzje zpjwá:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Po Arabské mezi žhaucj,
W diwých wlasti Beduinů,
Opuštěný Polák bludj,
Až zemdlený Klesne w stjnu,
Lituge, že země chladná
K sobě ho nepřiwimela,
Umjrage šeptem wzdychá:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Do wšech uhlů swěta snášj
Wicher Kletby, smutné wzdechy,
Ze wšech stran se ozýwágj
Prázdné národů utěchy,
Gen na hrobech Ostrolenky
Bledá postawa se hnula,
Mrtwé čjtagjc wzdychala:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Czyta się: *au* jak długie *u*, tak téż i *ů*. To pierwsze odpowiada Waszemu *ą*. Wszystkie samogłoski z kréską (´ albo téż ˚ nad *u*) są długie. Gdzieby się *i* ciągnąć miało, pisze się *j*; *č* jak Wasze *cz*; *ě* odpowiada Waszemu *ie*; *š* jak Wasze *sz*; *y* jak Wasze *j*; *ř* jak Wasze *rz*.

Stráň jest okolica u stóp góry; *pauta* — pęta; *žhaucj* — gorący; *uhel* — kraj (kąt, Kante, Spitze); *Kletba* — klątwa; *prázdný* — próżny.

Sztur.

Literatura krajowa.

DO KWIATKA Z MOGIŁY KOŚCIUSZKI.

Kwiatku mój mały,
Skarbie jedyny,
Nie bez przyczyny,
Mój umysł cały,
I czucie moje
I myśli roje,
Utkwiły w tobie
Kwiateczku miły,
Boś ty na grobie,
Boś u mogiły
Wodza polskiego
Uszczknięty.

Tyś dla mnie święty!
Wielu dla tego
Twojego kwiatu
Niewielbią światu,
Żeś mniéj barwisty nad inne: —
Lecz że cię polska wydała gleba,
Że cię ojczysty grzał promień nieba,
Zdroje poiły rodzinne,
Znajduję w tobie powabów tyle,
Jakbyś miał krasę i wonię raju,
Boś w jednym ze mną zrodzony kraju,
Boś na *Kościuszki* zakwitł mogile;

Ale ty zwiędłeś kwiateczku miły!
Czyli że brakło ci słońca?
Czy że cię rosy nienapoiły?
Wszakże ci pierś ma bijąca
Ciepła dodaje, bo żarem płonie
Miłości, kraju swobody,
Wszakże me oko, co we łzach tonie,
Swemi skrapiało cię wody!

Czy to z tęsknoty za polskim krajem.
Za wodą Wisły, górą Wawelu,
Żeś rozdzielony z tym naszym rajem,
Schniesz i więdniejesz mój przyjacielu?
O! pewnie temu! bo i ja z tobą
Do mych rodzinnych stron wzdycham,
Myśli i czucie kryję żałobą,
Z tęsknoty więdnę — usycham.

Wiedeń.

A. Ciesielski.

Karykatury historyczne,

udzielone redakcyi przez J. J. Kraszewskiego.

Albertus.

Część druga.

(Ob. Tyg. lit. I. str. 354)

Powrót z wojny.

Pozwólmy sobie jeszcze wejrzeć bliżéj w jednę z najinteresowniejszych chwil życia bohatéra Alberta; opiszmy powrót jego do domu, do swéj cichéj a spokojnéj plebanii, którą po burzliwych z fortuną zapasach uważał za port bezpieczny. Ten ważny wypadek podali nam historycy naszego bohatéra tak szczegółowo, że za nimi idąc, niczego się domyślać nie będziem potrzebowali.

Ksiądz Pleban zawsze czuły i pamiętny, siedział raz przed swoją ubogą dominą i rozmawiał z Wojtasem.

„Ach! co się to tam teraz dzieje z Albertem naszym? Wyprawa się skończyła, a o nim niesłychać; musi mu tam smakować wojenka, że z Wołoszy nie powraca. Wątpię, żeby zginął; niech Bóg strzeże! napominałem go o ostrożność.“

Aż Wojtas skazując palcem w pole, przerwał:

„Ehej, Mości księże, a dyć to ktoś jedzie jakby żołnierz, a niewartoby go o naszego Albertusa zapytać?“

Ksiądz spojrzał i odezwał się do chłopca:

„Puer! schowaj klucze od stodoły, a przynieś mi okulary. Cóż to znów, że ten żołnierz nie jedzie drogą, lecz prosto ku nam przez zagony? Coś mi się jak Albertus w nim ochapia? Patrzy i on na nas, ale to nie on; ale poczekam aż się odezwie, to go po tenorze poznam. Aha! otoć się już ma do czapki.“

Tymczasem zbliżył się nieznajomy na chudéj szkapie bez ogona; byłto w istocie Albertus, i ozwał się znajomym księdzu tenorem.

„Moje służby Waszmości, księże Prałacie; jakże się tu macie wszyscy?“

„A witajże miły Alberte! dziękiż i chwała Bogu, żeś zdrów do nas powrócił. A o jakiéjżeto służbie wspominałeś?“

„A! to dworskie powitanie Mości księże!!“

„O Panu Bogu nic? gdzież Pan Bóg Alberte?“

„Pan Bóg, każdy wié, że w niebie.“

„To i ja przecież wiem, ale cię pytam, czy na dworze o Panu Bogu zapomnieli, że go nie wspominają? Ale o tém potém. Odprowadź ztąd konia, żeby nie naplugawił. Tymczasem póki dla niego stajnię naprawim, w szkole go postaw sobie. Alećto nie ten, com ci go był kupił na wyprawę?“

„O nie ten, bo i maść insza i ogona mu brakuje.“

„Cóżto, czy się tak bez ogona urodził?“

„Ba zaś! Togo tak jeden dworak w Przemyślu ociął. Jechałem przez miasto, ten stał podle drogi w jedwabiach, wymuskany, wsafianowych bótach. Koń że się na tych błazeństwach nie zna, plusnął go przez gębę zabłoconym ogonem; on do szabli. Ja myśląc, że mi grzbiet obłoży, zaciąłem konia i nuż uciekać między wozy, anim się w tył nawet obejrzał, aż pod gospodą, spokojniejszy o siebie. Kiedy ja tu spojrzę, aż koń mój bez ogona; nie było o co gadać, bo sprawiedliwie czém zgrzeszył, tém odpokutował. Dostałem wszakci od sitarza za ten ogon dwa szelągi.“

„Chwała Bogu,“ odpowiedział ksiądz, „że ci się to upiekło na sucho. Osobliwszaż to bestya, żeby ogonem biła! A nie stawiajże jéj w szkole, boby mi tam wszystko podruzgotał. Pokazuje się, że Niemcy wielki mają rozum, bo widziałem w Krakowie, że u ich koni ogony pozamykane w jakieś puzderka.“

„Ba, toćto co inszego; byłem i ja na tym wjeździe w Krakowie, ale chłopięta mówili, że w tych puzderkach jakaś niemiecka potrawa była.“

„Osobliwsza potrawa!“

„Ależ ojcze, gdzie konia postawię? Czy nie mógłby stać w dzwonnicy?“

„O ho! ho! Czyś zapomniał, że i to poświęcone miejsce? Żeby jeszcze kogo przechodzącego zabił, a ja za niego główczyznę płacił. Ja ci radzę, albo go daj, albo przedaj komu, bo ja nie myślę w domu takiéj niebezpiecznéj szkapy utrzymywać.“

„Poczekawszy, zapewne go się pozbędę, ale wprzód mi do Krakowa trzeba, zobaczyć się z towarzyszmi w szkole Wszystkich Świętych. Oj! toż się będziem raczyć! Oni mnie zaprowadzą do Krapidjowéj, albo do Krzaczkowéj na marzec; muszą mnie częstować!“

„Ba, a coż się to stało z tym koniem, com ci go był dał na wyprawę, możeby mi się za niego, przedawszy tę marchę, pieniądze wróciły. Pewnie to Hetman najrzawszy tamtego konia, zabrał u ciebie, bo oni to umieją, jak co u biedaka najrzą dobrego. A tobie gorszego dać musieli!“

„Szkoda tamtego wspominać, bodajby się nie śnił. Dwu mil za dwa dni ujechać nie było można; musiałem swoje zapasy i leguminę po drodze zostawiać!“

„Boś go pewnie nie pasł.“

„Gdzie zaś! Jeść bo niechciał nawet, dawałem chleba i legumin; uszy mu zwisły, a z nosa kapało obrzydle.“

„Musiałeś go na razie zbytecznie przymęczyć?“

„Żebyż, alem za dwa dni trzech mil nie ujechał.

Wołowéj był natury; com ja nie wyrabiał, żeby mu ulżyć! kładłem już wszystko na siebie i dźwigałem sam, kopją podpierałem się i popychałem go; nic mu nie pomagało. Pytałem ludzi, coby to za choroba go męczyła; patrzali mu w zęby i koło nosa, potém domagali się kędy jadę? Mówiłem: na Podole. I śmiali się ze mnie, mówiąc, że go za staje porzucić będę musiał, bo nosaty i chory, a radzili co najprędzéj przedawać, jeżlibym na kupca trafił. Pomiarkowałem, że frantowali ze mnie i pewnie by go sami kupić chcieli szewskim targiem, bo go ogadali, że nosaty był, a on taki miał nos jak i drugi. Wlokłem się tedy do Bochni po błocie, ale omijając koleje, takem uwiązł z nim w kał, że koń się przewrócił i nogę mi przyległ; anim się mógł ruszyć, bo mnie jeszcze rzeczy przycisnęły. Nie było nawet do kogo wołać o ratunek, musiałem się wygrzebywać jakom mógł, a z wielkiego onego przestrachu uczyniłem votum, jeśliby mnie Pan Bóg z téj biedy wyratował, całą wyprawę odbyć na cudzym chlebie. Posłużyło mi to nabożeństwo, bom się wygrzebał choć trudno na brzeg; jeszcze mi tylko noga przywiązana do łyczanego strzemienia kłopotu nabawiła, ale postradawszy bóta, całą ją wydobyłem.“

„Znać nie przeżegnałeś się wyjeżdżając tego dnia z karczmy.“

„A jakem się miał żegnać, nie mając wolnych rąk? Prawą trzymałem się siodła i wodzów, drzewce pod pachą niosłem, lewą podtrzymywałem leguminę i obrok, bo nie bardzo mocno były przywiązane. I tak nie tylko się przeżegnać, alem i nosa utrzeć nie mógł, aż się ze mnie kobiety po drodze śmiały; a jak mi czapka spadła, tom musiał prosić, żeby mi ją kto na głowę wsadził.“

„Miałżeś przyłbicę, nie czapkę.“

„Całkiem mi była głowę odarła, ażem szyi od ciężaru nie czuł; to też ja potém przywiązałem koniowi do pyska, włożywszy trochę sieczki, żeby przekąsywał tymczasem.

„Trzeba było, bracie! codzień prosić Boga, żeby ci w drodze błogosławił, a tyś widzę o tém zapomniał, i temu ci się nie wiodło.“

„A! jam o tém nie zapomniał; miałem na to co inszego! Osobliwszy sekret, list palcem Bożym pisany złotemi literami, który za wielką prośbą od kompana przepisałem sobie. Musiałem go za to cały tydzień częstować i dałem mu parteski *Quatuor vocum*. Aleć potém i te sekreta powalały się w błocie razem ze mną.“

„A, szalony! któż to zaś widział, do takiego bałamuctwa wiarę przywięzywać; toż to czartowskie są sztuki. Dobrze, że cię czart i ze swojém tém pismem nie porwał; trzeba się tego było spowiadać.“

„Nie wiedziałem o grzechu, bo tam było pełno słów nabożnych i gęsto krzyżyków jak na cmętarzu; ale jak mi się ten sekret w błocie pomazał, podarłem go ze złości. Dużom ja tam w téj kałuży postradał! I parteski mi pod zbroją zamokły, i całe moje tłomoki w błocie zostały, drzewo tylko wyciągnąłem.“

„A konże jak wyszedł, chciałbym wiedzieć?“

„Chyba jak nie wyszedł, Dobrodzieju! bo on tam został w błocie *in saecula saeculorum*. Naprzód się był wygodnie położył; nie chciałem go zruszać i powoli wołałem, aż nadjechał parobek z parą wołów. Uprosiłem go na ratunek, przywiązaliśmy mu powróz do szyi, on trzymał, a jam konia poganiał i kamieniami i kijem, ale nic nie pomogło; dopieroż musiałem parę wołów zaprządz do powrozu i byłyby go wyciągnęły, żeby był na złość nie zdechł uparty szkapa.“

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Zbrodniarz z miłości.

(*Dokończenie.*)

IV.

Któż nie zna Krakowa? Jest to miejsce tylu szczytnych pamiątek, jest to odwieczny pomnik polskiéj sławy, okryty dzisiaj całunem grobowym. Wspaniała Wisła szumnie toczy bałwany do Gdańska i nieraz jeszcze wyrzuci na brzeg czaszkę szwedzką; pogląda żałośnie na wawelską skałę, na stare zamczysko, po którego spustoszonych komnatach przesuwają się cienie przeszłości. Dzisiaj po tych posadzkach, gdzie niegdyś chodzili Kazimierze, Zygmunty, depce plugawe żydostwo i roztaszowało się z swojém rzemiosłem, z warsztatami. Żal i tęsknota przenikają przechodnia polskiego i wciskają się do duszy. Widok ogołoconych murów, a dawnéj świetności, pali jak roztopione żelazo serce.

Władysław przybył do Krakowa, znalazł swoich towarzyszy, wszystkich jednego ducha, bo kiedyż Krakowianie za sprawę Rzeczypospolitéj byli ostatni?

Po skwarnym dniu nastąpił rozkoszny chłodny wieczór, księżyc wszedł w pełni, a miryady gwiazd odbijały złote światło w kryształowém zwierciedle staréj sarmackiéj Wisły. Cisza osiadła na téj przyrodzie, tylko czasem przemknęła się łódka i zmąciła szelestem uśpienie matki przyrody, tylko czasami hasło widety przerwało milczenie. Władysław stał zamyślony nad brzegiem Wisły. Kąpał wzrok w kryształowéj głębi. Częste westchnienia wydobywały się z jego

piersi; dumał. Była to chwila, gdzie się tęsknota i wyobraźnia przesilają. Władysław marzył o rodzinnéj zagrodzie, o bojach, o ojcu, o Anieli, o drukach, powiernikach młodzieńczéj duszy. — W łonie odżyły młodzieńcze pamiątki. — Myśl go oprowadzała znajomą drużyną po błoniach dziecinnych rozrywek, po miejscach młodzieńczego szału i uniesienia, gdzie rwał całą garścią kwiaty wyobraźni. W téj zadumie stał jak posąg, jak w śnie magnetycznym otrętwiały.

Ciszę przyrody, chwile jego marzeń, przerwał dźwięk gitary. Czyste tony rozpływały się w powietrzu wraz z miłym głosem, który im towarzyszył. Była to piosnka jego ulubiona: „Święta miłości kochanéj ojczyzny.“ Połykał duszą każdy dźwięk, każde słówko piosnki. Całą duszą wsłuchał się w czarodziejskie tony. W marzeniach przepędził noc całą. Z świtem poranku na odgłos trąbki dosiadł bieguna i pogonił wraz z innymi — na śmierć, — walczyć za ojczyznę.

Inaczéj działo się w domu jego rodzinnym. Zaledwie trzy miesiące minęły od wyjazdu Władysława, ojciec jego zapadł w niebezpieczną zgniłą gorączkę. Choroba coraz więcéj zaczęła się wzmagać, mimo wszelkich starań lekarzy. Nadeszła nareście owa nieszczęśliwa noc, w któréj Czerkieski w ciągłych mdłościach bezprzytomnie oddał ducha Bogu.

Przy śmierci jak czart na złą duszę czyhał bezczelny Dobrowolski. Jego wzgardzona miłość myślała o zemście. I zaledwie uczciwy starzec zamknął powieki, wyjął Dobrowolski papier i przytomnym pokazał, jakoby przed rokiem nieboszczyk pożyczył u Ponińskiego trzy tysiące dukatów i obowiązał się przy świadkach pod utratą wioski tę summę na termin przeznaczony oddać; lecz że uczciwy Pan Poniński niechce krzywdy osieroconéj familii, obowiązuje się resztę podług wartości wioski dopłacić dziedzicom.

Rozpacz Anieli po nieutulonéj stracie najlepszego ojca, odebrała jéj zmysły. Bez życia padła na ziemię, a gdy przyszła do siebie, ujrzała się w całkiém obcém miejscu, w pomieszkaniu Dobrowolskiego, który z szyderczym uśmiechem poglądał na nieszczęśliwą ofiarę. Ten widok powtórnie odebrał jéj przytomność.

Trzeciego dnia, gdy się miał odprawić pogrzeb Czerkieskiego, zamknięta Aniela wyskoczywszy rozbitém oknem, skrwawiona, z włosami rozpuszczonemi wleciała na smętarz i rzuciła się na piersi staréj Jadwigi, wołając: „Teraz mię nikt matko z tobą nierozłączy! Wyrwałam się z szponów zabójcy! — Cha! Cha! Cha! zdrajco! matko! Władysławie! Ojciec biedny umarł ci nieszczęśliwa Anielo, Władysław idzie! — Ach ukryi mię matko! Władysław mię zgwałconą zabije swoim wzrokiem, a ten zdrajca jego zabije; matko ukryi mię!“

V.

W kilka niedziel po pogrzebie Czerkieskiego, mieszkała Aniela w lichéj okopconéj izdebce włościana z starą Jadwigą. Wiązka słomy uścielonéj w końcu izdebki, była jéj posłaniem; nad głową obraz Zbawiciela. — Biedna dziewczyna w szesnastéj wiosnie życia została opuszczoną, znieważoną bezwstydnie! Sierota stała się pastwą zemsty rozpustnika, zbrodniarza.

Pewnego wieczora pokazał się w téj chacie jakiś żołnierz ranny w głowę, okryty płaszczem. Był to Władysław. Stara niańka nie mogła wyrzec i słowa, ujrzawszy swojego wychowańca.

„Gdzie Aniela na Boga żywego!“ — „Na smętarzu.“ — „Co, i ona umarła?“ — „O paniczu! niewiem za co nas Pan Bóg tak karze! Panna dostała obłąkania. Całe dni przesiaduje na grobie naszego Pana, twojego Ojca.“ — „Ach zemsto! zemsto piekielna, uzbrój mię w męstwo! Pomszczę się srodze krzywdy, zniewagi!“ i wybiegł jakby równie zmysły postradał.

Na smętarzu zastał klęczącą Aniele przy grobie ojca, która ubierała grób swojego dobroczyńcy w polne kwiaty.

„Anielo! moja Anielo!“ — „Ach matko, ratunku! zdrajca! ukryi mię matko!“ — „Anielo to ja, brat twój, Władysław, niebój się.“ — „To ty Władziu? Cha! Cha! Cha! Ja cię niepoznała. Biedna ja bracie, cierpię zawrót głowy. — To ty Władziu? Uciekaj ztąd, ja już nie twoja, ten mi cię wydarł — tam, tam. Zaślubię się z nim, a potém, patrz — ten nóż utopię mu w sercu. Cha! Cha! Cha! Uciekaj, on cię zabiję!“ — „Anielo, upamiętaj się; ty zawsze moją; nieodwracaj się odemnie; ja twój brat, twój kochanek.“ — „Biedny Władziu, ty dobry, nieodpychasz mię; o ja sierota! pali strasznie mózg w głowie. Patrz kto tam? to on. Cha! Cha! Cha! zabiję! zabiję!“ — „Anielo, to nasza niańka.“ „Moja matka, głowa moja. Cha! Cha! Cha! Chodź matko, patrzaj, jakim wieniec uplotła, pojadę w nim do ślubu, tato pobłogosławi. — „Stoit werba nad wodoju, kołysze soboju, oj czy tużysz ty za mnoju, jak ja za toboju.“ — A wiez meni ne chodyty, kuda ja chodyła, a wiez meni ne lubyty, koho ja lubyła. — Kochały sia, lubyły sia, jak hołubiw para, oj a lepcz rozejszły sia, jak czornaja chmara. Dwa hołuby wodu pyły; a dwa koło tyły, bodaj tyż poszczęzały, szo nas rozłuczyły! Cha! Cha! Cha! Chodź Władziu, chodź matko, uklękniemy tu przy grobie taty, będziemy się modlić.“

Troje ludzi uklękło przy grobie, całe ich szczęście przyszłe zniszczone, spokojność duszy, wszystko spoczęło wraz z ojcem w grobie. Jeżeliś był kiedy na pogrzebie twojéj nadziei, uczułeś co to utrata, przywołaj te chwile pamięci, a łatwo sobie wystawisz Władysława. On się nie modli, jak się tu modlić? — Jedna tylko stara Jadwiga z płaczem szepce pacierze. Władysław poprzysiągł na grobie ojca zemstę, a Aniela wkładając wieniec na głowę, witała, śmiejąc się nieustannie śmiechem waryatki. Władysław uścisnął Anielę i przeraźliwym zawołał głosem: „Bądź zdrowa! nie zadługo powrócę!“ — Ty mię opuszczasz Władziu; któż mię obroni? biedna ja!“— „Powrócę zaraz do ciebie Anielo, na chwilę tylko muszę się oddalić. Zostań z naszą matką i powróć do domu. Bądź zdrowa moja Anielo!“ i jak wicher poleciał.

VI.

W pałacu Ponińskiego obchodzą Czerkieskiego stypę, w salonie gore dwieście świéc woskowych. Liczne towarzystwo podzieliło się na różne grupy. Jedni tańczą walca, drudzy piją szampana i reńskie wino, starzy zasiedli obok sali przy stolikach, grają w diabełka i faraona.

Między gośćmi był Hrabia Edward, człowiek niepowszechny, który się wzniósł nad przesąd swojego wieku, obdarzony szczodrze od natury urodą, poeta, wielbiony w całéj okolicy z lekkości i alegoryi w swoich poezyach, w domach pańskich dusza salonów, modniś, któren nieraz piorunował, by się pokazać popularnym na coraz więcéj wzmagającą się arystokracyą, i dysputował o ważnych rzeczach; rozpustnik, u którego mimowolnie dwa kontrasty zgadzały się, było mu z tém, jak mówią, do twarzy. Upojony szampanem, iskrzy dużém siwém okiem, z którego wyziera kokieterya, bezczelność i lubieżność, i improwizuje szyderczo wiersze pogrobowe na cześć Czerkieskiego, klęka przed pannami, wychwala ich wzrok niebianek, ich czarujące lica, poprzysięga każdéj z osobna miłość, bo poeta bez kochanki, to ciało bez duszy. Wszystko garnie się koło Hrabiego Edwarda, koło poety, który zjednał sobie sławę europejską; wszystko powtarza: „Hrabia Edward co to za edukowany człowiek, jak mówi pięknie po francusku, jakie wiersze pisze, nawet utrzymuje dwóch młodych ludzi, których li przepisywaniem swoich rękopismów zatrudnia; stosy zalegly jego pracownie, lecz niechce ich, jak mówi, niewdzięcznemu światu udzielić, który nawykł tylko krytykować.“ — Wtém namieniono o Anieli; na co Hrabia Edward ozwał się: „Dziewczyna niemoralna, ileż ona już romansów miała!“

„Zepsuta dziewczyna,“ dodała panna Raszewska z blanszowanemi i rużowanemi policzkami, na których tysiące zmarszczków osiadło; obracając się do swojéj matki: „oto skutki złego wychowania, kochana mamo, przywiodły ją do tego, że teraz waryjuje za jakimś tam gachem, studentem. Ja w tych latach ani myślała o romansach.“ — „Tak to teraz moje kochane dziecię,“ odrzekła pani Raszewska; „tak to, zaledwie od ziemi odrośnie, a już co innego w głowie.“ — „Słyszałam mamo,“ rzekła znowu zcicha, „że Hrabia Edward sam się jéj oświadczał. Co za głupstwo, szaleństwo niesdarowane! Dziewczyna bez majątku, edukacyi. Jabym coś podobnego nieprzeżyła. Nie mógł by się to we mnie zakochać?“—„Nie troszcz się kochane dziecię o męża.“— „Ale mamo droga, jużbym była dawno poszła za mąż, ot Czetwertyński, ale mu tato odmówił, że nie obywatel tylko possesor. Przyjdzie do tego, że się podstarzeję.“ — „A czy może z miłości Czetwertyński starał się o twoją rękę; dla pieniędzy, dla pieniędzy.“ — „Ale późniéj i z pieniędzmi nikt mię nie zechce“, odpowiedziała obrażona własną miłością panna Raszewska, ze łzami w oczach, które zmieszawszy się z karminem na twarzy, padały jak krew na białą suknię, a Hrabia Edward widząc krew, spieszył z szklanką wody na ratunek. Troskliwa matka starała się ile możności pocieszać córkę, przyobiecując jéj na zbliżających się kontraktach lwowskich męża.

Hrabia Edward udał się na drugą stronę salonu do pewnéj mężatki, Hrabiny, któréj mąż, Panie odpuść: parafian, polubny, głupkowaty, ma dosyć przyjaciół, co nadskakują młodéj i pięknéj żonie; sam gra w karty. Hrabia Edward mizdrzy się do niéj, zawraca oczy. Ona mu z zazdrością wymawia grzeczność nadzwyczajną dla panny Raszewskiéj. On ją całuje w rękę, przeprasza, mówiąc: „Cóż robić z temi staremi pannami. Starą panną zostać, droga Leokadyo, to możnaby między plagi Mojżeszowe policzyć, które zsyłał na Egipt. Ale panna Raszewska znajdzie jeszcze jakiego parafianina, co to przyjeżdża na kontrakty lwowskie, aby się ożenić. Mama da łapowego faktorowi i wyda córkę za mąż. Bodaj to z żydkami mieć do czynienia! lepiéj jak z rodzicami.“ Hrabina Leokadya, niemająca świadków, bo wszystko zainteressowało się balem i kartami, ładną swą rączką uderzyła go lekko po twarzy, jakby go passowała na swojego rycerza. Muzyka zaczęła znowu walca, wszystko się ruszać zaczęło, nawet panna Raszewska z Dobrowolskim trzęsie stare pruchno.

Naraz słychać krzyk; jakiś nieznajomy męszczyzna roztrąca służbę, chce wejść gwałtem do sali.

„Muszę widzieć pana Ponińskiego i Dobrowolskiego, ozwał się nieznajomy, mam ważne zlecenia.“ — Towarzystwo balowe zaczęło się kupić koło wchodu do sali, orkiestra przestaje grać, Poniński i Dobrowolski chcą przywrócić porządek i pośpieszają na przód. „Gińcie zdrajcy jeden i drugi!“ wrzasnął nieznajomy, i dwa strzały pistoletowe odbiły się w salonie. Jedna kula przeszyła prawe ramie Ponińskiego, a druga ugodziła w głowę jednę z dam, stojącą przy Dobrowolskim. Służba pochwyciła nieznajomego, wiąże go i krępuje. Dobrowolskiemu goreje twarz, drzy z wściekłości jak zraniony wilk, zgrzyta zębami i pieni się rzucając przekleństwa: „Chwytać łotra. Czemuście go chamy wpuścili? Każę was batami smagać! Nauczę was służby!“ Przystępuje do związanego i obalonego na ziemię z obawą, by się jeszcze nie rzucił na niego. „To ty łotrze młody! oto obrońca kraju! Poczekaj łotrze, będziesz wisiał na nowéj szubienicy!“ — Młodzieniec gryzie usta; nie może wywrzeć zemsty.

* * *

W kilka dni po tém zdarzeniu na balu u Ponińskiego, stał młody Władysław w uniformie porucznika na rusztowaniu. Po odczytaniu dekretu sądu śledczego, padła głowa ostatniego z Czerkieskich pod mieczem kata.

Kraków 1842. *Hen. z Pok.*

Doniesienia literackie.

Od dawnego czasu redakcya Tygodnika tak się nad żadnym artykułem z serca nie naśmiała, jak nad artykułem p. Józefa Ł. o krytyce Wiszniewskiego p. Mosbacha. Orędownik et Comp. (Przyjaciel ludu) ledwie ujrzał, że p. Mosbach uważa niżéj swojéj godności, równie jak sławny Purkinie, odpowiadać na wspomnienie go w artykule „Przejażdżka literacka“ *), daléj na jego krytykę i osobę p. Mosbacha, sądząc, iż publiczność uwierzy, bez przekonania się, byle jakiemu bibliotekarzowi. Na nieszczęście swe wybrał w zapale właśnie takie miejsca, w celu okazania, że ów *jakiś* p. Mosbach nie zna historyi i literatury polskiéj, o których prawdziwości każdy, choć najmniéj z literaturą polską obeznany, przekonać się, jeżeli chce, może. Tylko ludzie tacy, jak autor artykułu, mogą, nie wiedząc o tém, coś takiego zaprzeczać. W końcu obrażony autor na naszego współpracownika, iż ośmielił się ganić jego „Obraz miasta Poznania,“ nazywa go Żydem, przechrztą i t. d. Mój Boże! żeby Polska była miała kiedyś wszystkich takich przechrztów, a mniéj Chrześcian-Żydów, jak autor, byłaby i dziś taką, jak była za Zygmuntów. Z resztą artykuł ten nosi na sobie właściwą cechę, bo tyle w nim bredni, iż chcąc zbić je, trzeba, jak już powiedzieliśmy, arkusze napisać. W to ci ludzie biją, jak już raz wspomnieliśmy.

*) Autorem tego osławionego artykułu jest jakiś pan Erazm

Z Wiednia. Pan Ciesielski wydaje u Millikowskiego tłumaczenie Ifigenii z Tauris Götego i kilkanaście lirycznych poezyj.

Orędownik naśladując swego brata Przyjaciela ludu, żywi się także przedrukiem, jak już kilka razy donieśliśmy. — W Nrze. 28. przedrukował z dziennika mód Kulczyckiego „Parafiańszczyznę.“ Tą razą, dla braku artykułów, zrobił dobry wybór, a jeżeli li takie artykuły przedrukowywać będzie, stanie się pismem, jakiego sobie życzymy. — Przedrukujcie, co chcecie, byle tylko takie artykuły, a Tygodnik pochwali was może kiedy za to jeszcze, jeżeli sumiennie dodając: „przedrukowane“, nie będziecie kompromitować imienia takiego, jak D. Borkowskiego.

M. z Krakowa, który nam ofiarował swe współpracownictwo i korrespondencye z Krakowa, pod warunkiem, abyśmy pierwszy jego płód, „Dytyrambem“ nazwany, umieścili. Ten Dytyramb zaczyna się:

I ja mam duszę, bo któż bez duszy?
I ja wciąż myślę, bo któż nie myśli?
Myślą i duszą, kto serca nie wzruszy,
Ten niema duszy, ma niewiele myśli.

A kończy:

Ha! uderzcie się w piersi méj prawdy łańcuchem,
Nie rozum sam półbogiem, ale myśli z duchem.

Widząc, że redakcya nie umieszcza jego Dytyrambu, udał się podobno wraz z innemi artykułami do redakcyi pisma, które każdy artykuł, byle był bezpłatny, przyjmuje, i dla braku materyału drukuje, aby odtąd prześladować Tygodnik. Cieszymy się z serca z tego! *Przyp. red. Tyg.*

Doniesienie. Przy końcu pierwszego półrocza tomu piątego Tygodnika literackiego uprasza się szan. prenumeratorów o złożenie wczesne przedpłaty na drugie półrocze, wynoszącéj zł. pol. 12, na król. pocztamtach: w przeciwnym bowiem razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali. Główny debit dla *księgarń zamiejscowych* ma księgarnia E. Günthera w Lesznie. Dla księgarń i prenumeratorów *miejscowych*, oraz poczty; redakcya. Księgarnia Stefańskiego od No. 27. żadnych nie będzie od redakcyi odbierać exemplarzy; uprasza się więc niniejszém, aby prenumerujący w księgarni Stefańskiego, złożyli prenumeratę albo na poczcie, albo w biórze redakcyi: *Ulica berlińska* No. 16. W ostatnim razie numera im przesyłane będą do ich mieszkania zaraz po ich wyjściu.

Red. Tyg. lit.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.